

Imię dzikie, suwerenizm

Ani się obejrzymy, jak wspaniałe, dumne słowo, będące przez stulecia żrenicą wolności politycznej zeschnie się, pomarszczy, zasyczy i zacznie znaczyć tyle, co „bandyta” – pisze w najnowszym felietonie z cyklu „Barwy kampanii” Wojciech Stanisławski.

Słowa, jak wiadomo, zmieniają swoje znaczenia i barwę: czasem dzieje się to w tempie minerałów, czasem – ciemniejących powoli obrazów, czasem liści. Czasem jeszcze prędzej, o czym zabawnie zaświadcza dobrowolna i bezpłatna (nie mogę więc mieć żadnych pretensji) aplikacja do nauki języków obcych, którą zainstalowałem przed kilku miesiącami na komórce z myślą o korkach, kolejkach do kasy i spóźniających się pociągach podmiejskich.

Podręczniki języków obcych są w ogóle czułym barometrem przemian, i tych dokonujących się spontanicznie, i tych narzucanych: pamiętam, jak przed laty Michał Ogórek sięgnął do podręczników angielskiego i francuskiego wydawanych we wczesnych latach pięćdziesiątych i ile radości dawało zapoznanie się z robociarskimi dialogami o odkuwkach i wyzysku, toczonych na stronach skryptu Wiedzy Powszechnej z delegacjami amerykańskich związkowców oraz prządek z Marsylii. Mam nadzieję, że równie krotochwilnym okaże się kiedyś widok skanów pierwszych kilkunastu lekcji włoskiego w formule Duolingo: jedynymi właściwie przybyszami do słonecznej Italii okazują się w tej wizji Marokańczycy (*i Marocchini*), którzy pragną jak najszybciej założyć

konto w banku i wyrobić miejscowe prawo jazdy. Pomaga im w tym, jak może, Luigi, który nieodmiennie, podobnie jak Mario, Alessandro, Ricardo i Antonio, mieszka i krząta się po Rzymie lub Mediolanie ze swoim chłopakiem (*il suo ragazzo*). Rzecz nie w wielości opcji erotycznych i formuł związków międzyludzkich: mężczy bohaterowie Duolingo, jeśli posiadają partnerów, to niemal wyłącznie męskich (by sprecyzować – boyfriends, lekcje włoskiego w tej aplikacji dostępne są bowiem jedynie w wersji angielskiej). Prawem symetrii Giulia i Chiara mają jedynie dziewczyny (*le sue ragazze*) lub narzeczone (*le spose*), co oznacza, że w perspektywie pokolenia *i Marocchini* będą musieli ogarnąć kwestię zakładania konta całkowicie samodzielnie, tym bardziej, że Alessandro i Giulia prócz zakupów online (*tu devi cliccare qui*) zajmują się wyłącznie troską o potrzeby swoich psów (*anche il mio cane vuole andare al parco!*). Jeśli bywają na ślubach, to podziwiają architekturę meczetów (*questa moschea è molto bella!*), z których szeroko przecież słyną Włochy.

Czasem te przemiany dokonują się jeszcze bardziej niepostrzeżenie i jeszcze nieco bardziej złowieszczo: zupełnie jakby coś gibkiego, chłodnego, przepęzło gdzieś w stercie opadłych, złocących się jeszcze liści. Nikt chyba nie opisał tego lepiej niż Aleksander Sołżenicyn w „Kręgu pierwszym”, charakteryzując atmosferę przełomu lat 40. i 50. w ojczyźnie (i języku) światowego proletariatu (przywołuję tu ten akapit w kongenialnym przekładzie Jerzego Pomianowskiego):

„To nie było nic nowego. To zaczęło się jeszcze zeszłej wiosny. Z początku rozgrywało się na terenie krytyki teatralnej i wyglądało na niewinne wymienianie w nawiasach dawnych nazwisk. Później prześliznęło się do literatury. W jakiejś drugorzędnej gazetce, zajmującej się wszystkim prócz bezpośrednich swoich zadań,

literackich, ktoś użył cichcem jadowitego słóweczka – *kosmopolita*. Znalaziono termin, nie ma co! Wspaniałe, dumne słowo, jednoczące wszystkie kręgi wszechświata, słowo, którym zaszczycano geniuszy najbardziej szlachetnych – Dantego, Goethego, Byrona – słowo to w gazecie wyleniało, zeszło się, pomarszczyło, zasyczało i zaczęło znaczyć tyle co *gudłaj*”.

Wspomniałem na to schnięcie i syczenie dziwnych, obcych nam słów, kiedy w ubiegłym tygodniu przeczytałem na stronach „Rz” artykuł wstępny jej redaktora naczelnego, zatytułowany, aż mróz po kościach przeszedł: „Idzie agresywny suwerenizm”.

- Suwerenizm! – choć niby oswojony z różnymi -izmami, nie spotykałem się dotąd często z tym terminem. Prawdę mówiąc, przemknął mi on (a i to za sprawą Google’a) tylko w artykule Eugeniusza Smolara z lipca 2020 roku, w którym dawał on szereg cennych (lecz, niestety, najwyraźniej niewysłuchanych) rad sztabowi Rafała Trzaskowskiego przed drugą turą wyborów prezydenckich. To tam celnie potępił „populistycznych suwerenistów” (zwyczajowi podejrzani, a właściwie osądzeni: „Kaczyński, Orbán, Marine Le Pen, Salvini i AfD w Niemczech”). Potępił – i znów cisza, przez prawie trzy lata!

Aż chciałoby się, parodiując Włodzimierza Sołowiowa, zadeklamować: „Choć imię dzikie – suwerenizm! - / Mnie jednak mile ucho pieści”. Imię bowiem dzikie i rzadko używane: nie tylko Słownik Języka Polskiego nie zna tego słowa, nawet angielskie wokabularze wahają się, czy zapisywać go jako „sovereignty”, „sovereignism” czy „soverainism”. Jedyne Francuzi, a już osobliwie aktywiści z Quebecu,

nie mają wątpliwości, że to *souverainisme*, i to z francuskiej mowy, za sprawą Eugeniusza Smolara i Bogusława Chraboty – co to jednak znaczy paryski szyk – wpełzło i zasyczało to dziwne słowo. Ktokolwiek nie jest urzeczony perspektywą szybkiej federalizacji Europy, a szczególnie przyjęcia przez aklamację pakietu 267 poprawek szykowanych przez PE, odbierających państwom członkowskim Unii prawo weta (a więc i decyzji) w sprawach migracji, rolnictwa, gospodarki, zdrowia, polityki zagranicznej, energetycznej i klimatycznej – niech się odtąd nie zdziwi, jeśli nazwany zostanie – SUWERENISTĄ.

O tym, jak wyglądać będą głosowania nad przyjęciem w/w pakietu poprawek, kto domagać się będzie ich natychmiastowego przyjęcia, kto zająknie się nad ewentualną debatą, a kto wręcz nad referendum – będziemy mieli się okazję przekonać. Ja, zainteresowany retorykami politycznymi, ciekaw jestem szczególnie błyskawicznej kariery pojęcia, a właściwie, nie bójmy się tego słowa, epitetu „suwerenizm” i innych mu pokrewnych. Ciekaw jestem, jak prędko przeczytamy ostrzeżenia przed ruchem suwerenistów śląskich (przed nim jeszcze dowiedzieć się możemy o suwerenistach katalońskich). Ile minie czasu, zanim dowiemy się, że ulubionym językiem suwerenistów jest nienawiść, a ulubionym narzędziem działania przemoc: można się wprawdzie tego domyślić z lotnej frazy w „Rz” – jak się okazuje, „językiem suwerenizmu przemawiała irlandzka partia Sinn Féin i jej zbrojne ramię IRA”, warto jednak postawić kropkę nad i. Sam potrafiłbym wymienić jeszcze kilku suwerenistów, ot, choćby tych, co we wrześniu 1908 roku atakowali cywilny wagon pocztowy pod Bezdunami. Sterroryzować obsługę telegrafu, pozabijać żołnierzy, zwykłych poborowych z branki – oto, do czego zdolni są suwereniści!

I tak dalej, i tym podobne. I nie liczyłbym na rozszerzenia terminu w rodzaju „Dzień Suwerenności” czy sztandar z godłem „Wolność Całość Suwerenność”. Nie, wręcz odwrotnie: ani się obejrzymy, jak wspaniałe, dumne słowo, będące przez stulecia źrenicą wolności politycznej zeschnie się, pomarszczy, zasyczy i zacznie znaczyć tyle, co „bandyta”. Ostatecznie sam termin „suwerenista”, z tą dziwną końcówką *-ista*, zdradzającą romański rodowód terminu (*falangistas, futiristas*) brzmi jak określenie kolejnej agresywnej aberracji politycznej: są, jak wiadomo, populiści, są nacjonałiści, są integryści, dentyści, i najwyraźniej również suwereniści. Wyroili się, na prawach rymu. Dobrze wszak wiemy, jacy *-iści* potrafią maszerować po marginesach życia publicznego ponurymi, agresywnymi czwórkami, ciskać obelgi i petardy, bo więcej nie potrafią. Nie, nie miałem na myśli ani czekistów, ani maturzystów.

Ten termin będzie zyskiwał na (negatywnej) popularności szybciej niż dowolny napój gazowany, niewielu swoich przewidywań jestem tak pewien, jak tego. Warto zawczasu rozważyć swoje stanowisko, i zdystansować się, i odciąć, jeśli nie chcemy znaleźć się wśród zawistnych ponuraków, którym przeszkadza, że ci sympatyczni przybysze *Hanno bisogno di un cellulare* (pilnie potrzebują jakiegoś telefonu komórkowego). *Ora!* (Now!)

Wojciech Stanisławski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
